

KAROL MALISZEWSKI

Zdania na wypadek



Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Nowoczesna Polska.

KAROL MALISZEWSKI

Zdania na wypadek

I. GÓRY, GORAŹCZKA

MŁODY POETA PYTA O-

Owszem, czytałem skrycie gdzieś na strychu,
blask świecy zaciskał się na obrzmiałej szyi,
wył pies uwiązany do rzeźbionego łóżka;
pisanie wierszy przestaje być aktem politycznym,
jest aktem rodzenia się okrągłutkich przeczuć;
wiosna mignęła za oknem przez chwilę,
wisi śnieg nad miastem

Poezja, Poeta

i będzie wiele z tego, co się miało stać,
reszta się nie stanie
z braku przeznaczenia. Krynickiego czytałem
pamiętam na strychu — w czas prędkich egzegez
tomików wożonych w plecaku po Polsce;
brałem słowa w palce pod mdłe światło
lampki swego losu, co cień rzuca nie zawsze
gdzie trzeba; czytałem na głos
chodząc po pokoju — północ oddzwaniała
mym posępnym krokom, że nawet sąsiadka: któryś
z Maliszewskich ponownie zwariował!

Słowo, Los

Szaleniec, Słowo

ROCZNIK SZEŚĆDZIESIĄTY GRZEBIE W PAPIERACH

Otworzyły się szuflady pękły wysłużone plecaki
ze starego worka na śpiwór (bo spało się gdzie
bądź) wypadł kłęb włosów dawno pochowanej
i stos karteluszek zapisanych
serdecznym pismem z przełomu
lat siedemdziesiątych osiemdziesiątych
bez akapitów bez znaków przestankowych
(bo nie chciało się przestać) by dać sobą
świadcstwo nędzy pielgrzymstwa poniżenia

Przemijanie

Rocznik sześćdziesiąty grzebie w papierach
uczęszcza do poradni wychowawczo-zawodowej
dla młodych literatów
i już nie zaczyna zdania od więc.

NIE PYTAJ WIĘCEJ KIM CZYM

„Pan był kiedyś poetą”
nie mogłeś tego ująć prościej synku
siedzący w pierwszej ławce od okna
to prawda
byłem kimś takim
nie zdając sobie z tego sprawy
paplałem trzy po trzy jak dziecko
które nauczyło się mówić
„pan był kiedyś poetą”
to było dawno
niewiele pamiętam pojedyncze słowa
oderwane sytuacje
liryczne telegramy zawiadamiające

Poeta

o konieczności przyjazdu w celu
odebrania nagrody
pieniężnej za zestaw słów
„pan chyba był kiedyś poetą”
widzę zamglone szyby pociągu
który zatrzymał się w szczerym polu
boję się podejść do okna
żeby nie być podejrzanym
o chęć napisania tzw. wiersza
„bo ja coś o panu słyszałem”
synku z pierwszej ławki od okna
dobrze mi tu z wami
i ciepło idzie od kaflowego pieca
na którym plansza z pytaniami
przypadków

nie pytaj więcej kim czym byłem

STARA NIEMKA

Stara Niemka włóczy się po miasteczku
z pustą torbą na zakupy

Naród, Ojczyzna, Niemiec,
Polak, Historia, Ptak

karta pokoju może się odwrócić

stara Niemka — ptak do lotu
lepiej by nie stanął

ręce powykręcane głowa podana do przodu
i już już odrywa się od ziemi
która okazała się odzyskaną

odlot do ciepłych krajów
za Łabą

niestety

reumatyzm skrzydeł

grób Heinricha
na miejscowym cmentarzu

DOPISEK PO LATACH

Stara Niemka umarła.
Nie męczyła się zbyt długo.
Nie wiem czy mam płakać,
czy dalej ciągnąć tę notatkę

Chodzą słuchy, że była praprawnuczką Hölderlina
że pisała wiersze, że to co my
chłopaki z ulicy Piastów,
braliśmy za klątwy
rzucane na nasze usmarkane oblicza
— było w rzeczywistości strzępami
klasycznej poezji niemieckiej. Przeważał Goethe

Słowo, Poezja

Najpierw odjęto jej nogę;
na prośbę anonimowego fundatora z Hamburga
zachowano te jej cudowne skrzydła
— poczęte w wyobraźni polskiego chłopaka,
który w tej chwili mimo wielu starań
nie może wykrztusić z siebie jednej łzy.
Jest już bowiem mężczyzną, coś mu się porobiło
ze łzami. Chyba chowa je gdzieś;
czyżby do wewnętrznej kieszonki z zapiskami
czekającymi tam cierpliwie
na podniesienie

Łzy

ODKOPCIE GO

chciałbym strząsnąć robactwo
z jego garnituru w prążki,
podać mu rękę i powiedzieć: „wstań
tato” — jak niegdyś, gdy wracał zalany
w trupa
i padał niedaleko naszych okien

Ojciec, Syn, Grób,
Wspomnienia, Ciało

chciałbym go sobie przypomnieć
z rozsypanych kości, z garsteczki prochu
ulepić figurkę na zboczu
góry, która go pochłania.

DROHOBYCZ

Na wzgórzach dzikie trześnie kwitną
Drohobycz w dole. Nie,
Nowa Ruda fosforyzuje w szkle dymów

Sucha morwa, którą po wielokroć
przesadzał nieznany ogrodnik —
mówię

— Wielkiej Sowy cień
rozgałęziony jest jak moje serce

nowe serce

Gdy przyjadą Niemcy (w sezonie
wycieczek) - - -
powiem im to samo.

WARSZAWA

Chodziłem po Warszawie, był mroźny poranek,
już mówiono o wiośnie w wyższych sferach
ptasich. Długo stałem na moście,
lód drżał, był jak lawa, tramwaj

Warszawa, Poeta, Gość,
Obcy, Błądzenie

brzęczał uprzężą, warczał pudel
na mnie: przybysza z prowincji —
z miasteczka Drohobycz w gminie Nowa Ruda.

Chodziłem po Warszawie, ściskając rękopis,
pierworodny zbiór wierszy
zawinięty w gazetę.

POETA. MASZYNA.

Pisanie przepisywanie wysyłanie na adres
redakcji skamlanie u drzwi wydawnictw
ukrywanie się za godłem Harnaś albo Outsider
otrzymywanie kwoty przekazu 5000 zł za całokształt
dziękowanie za zaproszenia na sesje wieczory
poranki podpisywanie listy obecności
w tym pokoleniu obowiązkowe wołanie
na puszczy albo „pieprzona komuna” co na jedno wychodzi
a potem chowanie głowy pod stół bo
na sali może być tajniak błaganie o stypendium
ewentualnie jednorazową dotację na rzecz
rozkwitu prężnego talentu wyganianie dzieci
z pokoju bo tata skrobie POEZJĘ
taka mała skrobanka na marginesie
ostatnich siedmiu lat wspólnego pożycia
z maszyną do pisania kupioną na spółkę
z Maćkiem Chlebickim w Białymstoku
na parę dni przed telewizyjnym wystąpieniem
zwierzchnika si zbrojnych
skoro świt.

Poeta, Słowo

CO DO CHOLERY (LATA OSIEMDZIESIĄTE)

Kątem na Bródnie u dwóch dziewczyn
z socjologii W dzień szedłem na cmentarz
grzebać wśród nazwisk szukać ojca mojego
ojca zmarł w 1914 na suchoty W nocy na Wschodni
węszyć nasłuchiwać czy jeszcze bije serce narodu
Biło zomo i ostry zapach krocza
 prostytutek trzeciej kategorii
mieszał się z moją egzaltacją Toboły wylewały się
z przechowalni aż na perony Staruszki dławiły się
kaszą gryczaną sos pomidorowy ściekał im
po brodach wszędzie sos pomidorowy tampony
podpaski pieluszki nocniki podwiązane do
plecaków I ta nagła czułość co zalewa ci
gardło miłość do tego całego bajzlu
Smród buchający z łachmanów żebraczki
peweksowski zapaszek gogusiów powracających
w panice z wakacji bo jakieś tam strajki
Spali na swych wyperfumowanych żeglarskich workach
synkowie a w ciemnym kącie na piętrze
pieprzyły się zdrowo dwa długowłose cienie
obwieszzone koralikami udające się na pielgrzymkę
do grobu Stachury Edwarda Napisy w klozecie
zachęcały do wolnej miłości ale co do cholery
co do cholery ze mną kim jestem
spłodzony lecz niepocieszony (współlistotny ojcu?)
na warszawskim bruku w mroku kim jestem
i po co Wracalem nad ranem pamiętając

Warszawa, Miasto

że miałem coś ważnego do powiedzenia
ludzkości światu narodowi naszemu
który jest jak lawa wylewa się
na ulicę Gęsta ślina w ustach
na widok rozrzuconych nóg pod cienką kołdrą
kropelka śluzu pojawia się znika czeka
pochwa by pochwycić dłoń palec cokolwiek
Któregoś dnia odszedłem padał śnieg
tramwaje odprowadziły mnie za miasto
szedłem szosą w stronę rodzinnego południa
szeleściły w plecaku pamiątki młodości
trochę zdjęć poźółkłe ulotki mapa Masywu Śnieżnika
i Gór Bialskich Biblia Bursa
dwa w kratkę bruliony.

SENS (OSTROŁĘKA)

Piotrowi Matywieckiemu

Obudziłem się na granicy województw.
Zakopywano zwłoki sarny
i dano mi to oglądać przez ramię. We śnie
pisałem wiersze, nie oglądając się
na D.Ś., M.G., na nikogo.
Teraz, przebudzony, budziłem niesmak
mieszając rzeczy, podnosząc sweter,
rozrzucone gazety.
Mówcie, co chcecie.
Zastanówcie się, co mówicie.
Dowolne nazwiska: kryją się w płytkich okopach sensu.

We śnie było lekko.
Zaraz potem jest lepko, butelka
po wódce na sąsiednim fotelu.
Brudni ludzie wysiedli w Pultusku,
ulewa chciała ich umyć, ale nie dała rady.
Jeden z dyskutantów miał rację.
Musiałem to przespać.
I kartkę przewróciła ciepła ręka
zza szyby, zza chmur podobnych do trumien.
Bóg chyba jest. Jak promień.
Tylko coś we mnie wyszło, w przerwie.
Tamtędy leje się woda, mówi kierowca.

Sen

GÓRY, GORĄCZKA

Widok gór
ochłodził mnie, widziałem
rodzinę: żona, babka
i ten krzywy Pradziad porośnięty
ciupagami modrzewi; dzieci moje
rozsypane od zmierzchu
do zmierzchu, całe w kołpakach
prześwitów, tych drobnych

Góry, Arkadia

olśnień danych dążącemu
donikąd —

byłem już coraz
bliżej, patrzyłem na obraz
rozedrgany pędem
jak stawał się doskonale,
nie wiadomo jak

uspokojony i pogodzony
z najwyższym słońcem
w chmurach, z obłym stokiem
w lustrze burego jeziora,
z jakimkolwiek
sobą

OKOLICE BARDA (WARTHA)

Krzyżkowi Śliwce i PKP

Rilke spadłby z tej góry
jak zwykły śmiertelnik —
pokładł się rocznik 27:
świerki, sosny, modrzewie,
podmuch był krótki (gęsty)

Ostatni miesiąc do emerytury,
w dystynkcje leśnika wplątuje się śmierć,
brzozy gorzkie w widoku,
las cierpki w dotyku —
tak wiele obiecywał za młodu

Dymią góry, kopcą się doliny,
był pożar w deszczu,
sadzunki w szalasię już nas nie dotyczą,
zawiodła Matka Boska, zawiódł krzyż dębowy —
ogłosił upadłość ramion w lesie.

WEDŁUG LEGENDY

Według legendy umierałem z zachwytem
z włosiem rozwianym, kiedy pośród palby
mauzer zastygł, dłoń pełzła po murze,
gdzie dziś bluszcz pięciopalczasty
i pamiątkowy — „jakby poeta coś wyrzec
chciał w tym ostatnim słowie”
twierdzi posłowie, hagiografia szczegółów

w wieku 23 lat
zdobył na wrogu
kilkadziesiąt wierszy i języka
schwytał w ciemności, który
jednakowoż milczał
jak grób

Z PAMIĘTNIKA POWOŁANYCH NA WIOSNĘ

Obnażać się w pokoju pełnym młodych
mężczyzn (z tego samego rocznika
i młodszych) powołanych na wiosnę
1988; pośladki, uda, zwisające genitalia —
szybkim ruchem wciągana piżama,
by nie wydać się śmiesznym; dziennik,
następnie film fabularny za zgodą
dyżurnego oficera; sytuacja w kraju napięta,
ale chyba nas nie użyją w razie czego;
już widzę siebie wjeżdżającego na skocie
do rodzinnego miasteczka;
a po drugiej stronie ekranu
nasze żony robią na drutach, dzieci
krztuszą się ampicyliną, wreszcie zasypiają.

Żołnierz, Obcy

Myc się w łaźni pełnej młodych
mężczyzn (z tego samego rocznika
i młodszych), wkładać rękę w krocze
i mydlić w obecności ich wszystkich —
w strumieniu gorącej wody z zardzewiałego
sitka spod sufitu stać się jednym z nich
nie do odróżnienia

Zbudzić się w pokoju pełnym
zamętu /alaaaarm!/i wciąż jeszcze
myśleć mój kraj

NAWET TU, W WOJSKU

Nawet tu w wojsku
chodzą za mną wiersze jak psy
liżą ręce proszą o więcej
mięsa kości krwi
skaczą do gardła piją ślinę
a potem uspokajają się
lepka biała nić wiąże je ze mną
niewidzialna

i co mam pisać
wszystko już było List przyjął skargę
i zaniósł żonie wyznanie
najszczerze

o pokoleniu? o straconych latach?
że uczą strzelać w smutną twarz
z tektury? że mówiąc
wszo gnido do gnoju
uczą pokory pojednania
z piachem który jest wieczny
który czeka na nas

Żołnierz, Przemoc, Pokora,
Przemijanie

...I to już było
przerabiali chłopcy
z poprzednich pokoleń

i następni będą wciąż po tych samych
tłuc się bezdrożach.

INWAZJA

Lizą mnie niewidzialne języki,
te drobne ukłucia świadczą o zarazie.
Rozsiada się statecznie flotylla dmuchawców
i w skórze zakłada kolonie karne.

Plotkuje mną powietrze.
wypluwają wyspy i robią sobie rzeczną przystań,
dają się łatwo rozsmarowywać na kromce
z kosza, pod grochówkę z menażki
w trzecim dniu poligonu.
Czwartego dnia będą jedli Podsiadłę,
to ich naprawdę wzmocni.

Poeta, Żołnierz, Jedzenie,
Ofiara

Szczątki dawnych poetów, na widok których
panienki sikały, płaczą się z dźwiękami
przebojów puszcanych z głośników na wzgórzu.
Disco polo wchodzi łatwo, nic nie
boląc, jak świeca. Poeta nie.

Poeta

Poeta się pierdoli, rwie, stwarza
problemy językowe: podmienia
znaczenia, podmywa dawno wykrystalizowane
pojęcia, przestawia minerały akcentów
w głębie i na półkach zbieraczy,
którzy właśnie tracą cierpliwość
i mówią głośno, przez szybę i folię,
przez celofan do kwiatów: chuj,
aż biedne chylą swe potulne główki.

Lepiej by wam było polecieć w kosmos.
Zacząć nowe życie na Marsie,
a nie na przedramieniu. Za chwilę
sięgnę po szmatę w wiadrze i środki
czystości. Zegnę was w łokciu i wypluję.

Będziemy wspominać zgłoskowcem, w tercynie.

KARTKA Z BROUMOWA ALBO ĆWICZENIA W IRONII

Broumowskie Cyganiątka na czołgu w kwiatki
na którym ktoś sprajem POLSKA
napisał — jeszcze kilka godzin
w tym czeskim miasteczku
kilka godzin do zamknięcia granicy
Darek spotkany na szlaku
pojechał do Pragi nie patrząc
na krzywe spojrzenia urzędników
od ruchu ludności a ja się waham
i idę w końcu w stronę
ciemniejszej na horyzoncie Gwiazdy

znajduję rozdartą piorunem kapliczkę
gdzie modłę się z cicha
lecz drugą połówką tzw. duszy
już układam limeryk à la Joyce
i myślę o stosunku z napotkaną Czeszką
której wata wystaje skądś tam
i to mnie odstręcza Zresztą
ja się nie podobam kobietom
w chmury zaglądam jak nikt jeszcze
przede mną a schodzę ze ścian
z Broumowskich Ścian
żółtym szlakiem do Hony
skąd za 9 koron jadę do Nachodu
i tyle, byle

byle do przodu

REKA NATRAFIA NA RADIO

Ręka natrafia na radio i łapie Cohena
jest północ w styczniu środek Europy
przez środek serca biegnie nowa linia
kolei losu Trzaska mróz obcasami
Otwieram się na zachód
zamykam się na wschód Nic co z południa
nie jest mi obce Kolejny odcinek ironicznej
powieści przerwany w połowie
chrząknięciem spikera I po co ta ironia
mówię do człowieczka który pełźnie w lustrze
Jest to podmiot liryczny uciekł
z podręczników i wygląda na zadowolonego
Tam groziło mu rozstrzelanie przez analizę
Tutaj jest sobą a właściwie mną
pozwalam mu na wszystko
w granicach prawa i rozsądku
Prawem poety jest być szalonym
prawem podmiotu jest być posłusznym
toteż mój podmiot jest nieco stuknięty
Wybaczenie nie stać go na razie na więcej
i nie powiesi się jeszcze tej nocy
Przetrwa do rana i wyjdzie na mróz
tam go dobiją szyderczym spojrzeniem
Na razie wygląda na zadowolonego
nie przeczuwa biedak swej publicznej
śmierci Szufflada do której go
za chwilę wtrąć podoba mu się
już znalazł ołówek i kartkę z notesu.
„Ręka natrafia na tomik Cendrarsa
i łapie się na tym że jest już pod Wozem
przycięta równo powyżej nadgarstka
koślawo zwisa z nieba bo lepiej nie może”.

Poezja, Szkoła

Poeta, Szaleństwo

BĘDĘ PRZEBYWAŁ JESZCZE WTEDY W POLSCE

Przeczuwam wiersz który napiszę
w czterdziestym trzecim roku życia

Polska, Poeta

już jego korzenie niesłyszalne we mnie
rozrastają się w mózgu tkanką
poematu Będę przebywał jeszcze wtedy
w Polsce z orłem w koronie prezydentem
dwuizbowym sejmem Będę w małym miasteczku
które kiedyś czeskie niemieckie
teraz polskie poetyckie
obrabiane słowem jak *dyjament* lśni
I Polska będzie rozbita na pięć
sześć wolnych republik
ja wśród śląskich poetów będę niczym
Anioł i żona mnie opuści
z kimś normalnym kto potrafi wyżywić rodzinę
i ma w sobie czułość nie zmarnowaną
przez dziesiątki wierszy a ja będę wtedy
jeszcze mniejszy bo chory na chorobę
nie oznakowaną kryptonimem chorobę
która zbawi świat cywilizację zetrze
i zacznie sposobić nowego człowieka
Będę przebywał jeszcze wtedy w Polsce
wiersze głosząc na wiecach w przejściach
podziemnych na wysypiskach śmieci
w schroniskach dla zwierząt
lecz klatki będą zapełnione ludźmi
Będę przebywał jeszcze wtedy w Polsce.

LOT

Eli i Maćkowi Chlebickim

Absolwent filozofii. Zostałem
świeclicowym w szkole
podstawowej (Ziemia
Kłodzka). Oto losy
człowiecze. Kadra jest młoda, dzieci
krzyczą. Nie wiem, czy mój
wystudiowany stoicyzm podoła.
Dzisiaj rozmawiałem z nimi
(IV b) o ziemi, matce
naszej — ile kto ma hektarów.
Nie taili. Potem wspomniałem
o trudzie rolnika, ale nie wiedzieli,
o co mi chodzi. Dojeżdżająca młodzież
zbyt często (pod pretekstem
wyjścia do ubikacji) kieruje swe
kroki do pobliskiej lodziarni. Pan
dyrektor ze swego wysokiego okna
marszczy brew i grozi palcem. Salmonella,
sceptycyzm i brak kontaktu z prasą
literacką. Patrę na park,
gdzie stadko młodych łabędzi
wzbija się do lotu.
Mnie też o nic innego
kiedyś nie chodziło.

Filozof, Nauczyciel

Upadek

WYSIADŁEM, USIADŁEM

Uszedł ze mnie duch na jakąś godzinę
i czułem w ręce bilet
przez Leszno, Poznań, Konin;
dopiero potem myśl, żeby coś wyjąć
i przestać migotać, wpisywać w szybę,

wszystko oddychało we mnie,
byłem we wszystkim.
Bolała od tego głowa i kolana,
jakbym wędrował na klęczkach
po wiosennej grudzie, tłukł okna,
a przedtem pał głowę
rozblyskiem widoków (to bliskie
konania), snów, napomknień.

Czyj sen jest większy
w tym pokoleniu, i słyszę: czy
napisałeś już o mojej
książce i: kiedy wreszcie
napiszesz —

a chuja napiszę.
Wysiadłem z pociągu,
bo mi się spodobały czyjeś usta w szybie,
ruszały się.
Nie mogłem znaleźć zeszytu.

APEL POLEGŁYCH

Pisz teraz, bo masz dobre dni;
i następni zmarli popierają cię,
pchają wyżej, mówiąc —
jesteś tego wart, ładnie opisujesz
nasze okna,
nasze ręce na parapecie,
ślad po nas na szybie.

Odchodzimy, kiedy chcemy odejść,
nikt nas nie wybierał,
nie wierz w przeznaczenie;
już następnego dnia
ktoś szybko zedrze tapetę w słowiki,
zamuruje okno.
zrobi łazienkę w stołowym.

Przed zmrokiem w samym sercu zmierzchu
otwiera się mała przepaść,
wywija się jak robak z dzioba
języczek śmierci,
trel lekki swawolny.

Podróż, Literat

J. K

Otchłań

POECI DOSKONALE WIERNI

Adamowi Ziemianninowi

Poeci
doskonale wierni

przyrośnięci do drewnianej zabawki
kołatki
wystruganej w dzieciństwie
przez cieślę z sąsiedztwa
Józefa jak mu tam

przyssani
do matczynej piersi dziewczyny
poznanej raz na zawsze
wczesną wiosną 1981 roku

(chodzić na palcach
nie ruszać czulej struny
nie dotykać wygasłego wulkanu
nie deptać
wzgórza porośniętego czułą tymotką)

oni coś jeszcze napiszą
w 1997 usłyszycie o nich
zmartwychwstanie poematu
będzie ogłoszone
śmierć będzie wystawiona
na próbę męskiego rymu
miłość niestety nie
znajdzie swojego wyrazu

poeci
doskonale wierni
otworzą oczy
prosto w przepaść

w promieniach skroplonej zorzy
kartki papieru
wiatr będzie włączył

SIERPIEŃ

W południe kogut rozgdał się jak kura,
pan z kijem podjął przerwana rozmowę,
wisiały w powietrzu zwiłokrotnione języki
— za plecami berberys, pogańskie lustro,

bezkarnie po żytach błędziły obłoki
w konkursie kto wyżej — wygrała wieżyczka
na pobliskiej górze,

dalej Sarny, Ścinawka, Góra Wszystkich Świętych,
żyć, umierać, pisać,
czytać na przystanku „przepraszam za wszystko”.

Byłem synem wiatru, jestem córką deszczu,
po czterdziestce powietrze uchodzi,
zagęszcza się gdzie indziej.

Błysk wycina Goethego
w obłoku za wzgórzem.

II. LIRYKA LOKALNA

W GÓRĘ RZEKI

Kamieniem się staje dotykane próchno
Świeci we mgle wypalany trawnik
wydawało mi się że znam mowę ptaków
ale w tym lesie jakoś wszyscy zmilkli
odjęło im mowę dodało mi skrzydeł
wyszło z płomienia płomień wił się w dłoniach
bił skrzydłami o ściany wiersza
zamierał na ustach jak kwiat kasztanowca
poobłoczna piana na gałązkach słów
„już po mnie” mówiło się bo tak było modnie
przede mną góra do zdobycia
mgła do rozproszenia miłość do zabicia
wypełzały z tej czaszki jaszczurki przeznaczeń
po równo obdarowani odchodziliśmy
do swych kruchych zajęć
pamiętam chciałeś być księdzem
teraz się męczysz na odległej plebanii
chciałem być tym który ucieka
co to ma znaczyć pytałeś
właśnie chciałem znaczyć tyle co hieroglif
metafora gnoma być i nie być
znikać wymigiwać pysznić się istnieniem
a co Bóg na to pytałeś
Bóg wiele wybaczy i przepuści przez palce
takim jak ja
są to boskie eksperymenta eskapady ekstrema
musimy być na przekór płynąć w górę rzeki

Młodość, Dorosłość,
Marzenie, Upadek

należało pragnąć goręcej należało goręcej pragnąć
należało

LOUDZIE PO DRUGIEJ STRONIE

Ludzie po drugiej stronie ulicy,
gdy mi przywożą węgiel
i podnosi się mgła,

z zapartym tchem śledzący
manewry multikara.
Wreszcie wpasowuje się
zmarzniętą dupką w secesyjną bramę,
by wysrać tonę lub dwie
na środku korytarza.

Taki jeden liczący na miał
czai się z workiem.
Niemowa kręcący głową,
przekonany, że gość urwie lusterko
na gzymsie, ale jednak nie.

Starsza pani w filcowych botkach
z opieki społecznej

metalicznym głosem dworcowej szczekaczki
coś mu tam oznajmia,

a mnie pyta, kiedy się to wszystko skończy.
Wszystko to się dawno skończyło,
teraz żyjemy w kawałkach wszystkiego,
w bryłach. Nie chce mi wierzyć.

Wiara

ALBO ALBO

Albo gonić skurwysyna, za
przeproszeniem, co uciekł
obronie, zrobić go na szaro
i dobrze wrzucić
chłopakom. Drzeć się jak opętany
po tym голу, a potem chodzić
po górach zachrypnięty
i po kolędzie (za kolesia,
który się oberwał) też.

Albo jeździć rowerem po dziurawych
mostach, pisać wiersze,
palić papiery po zmarłym
dziadku i zobaczyć to
niesamowite zdjęcie Chruszczowa,
a to wujek Edek. Nosić dzieciaka
i odwzajemniać jego przytulanie,
poklepywać żonę po następnym
brzuchu. Kochać się z tym brzuchem.
Wszystko.

JESTEŚMY

Jeszcze lokówka ciepła, rozrzucona bielizna,
niewyłączone radio mówi,
że Okocim sześćdziesiąt. Stan wód
i uczuć, jak to w lutym.
Nadgryziona bułka, pomarszczony
dywan, okno mieni się nagłym
słońcem. Byłaś tu przed chwilą,
teraz jesteś w pracy.

Co uchyliaś, zostanie uchylone.
We mnie mieni się przestrzeń,
wirują: śluz, ślina, sine
krople z sutków. To się chyba nazywa uśmiech losu.
Pojawił się wreszcie na twarzy, prysnął w okulary.
I zapach, smak tego, co się dzieje.
Jak młode zboże rozgryzane wolno.
Szum wokół nas; z gołębi, obłoków,
z płatków sadzy i skóry. Jesteśmy

jak niecierpliwie pukanie dzieci,
odwołane lekcje nieznośnej gramatyki.

JAK KSIĘŻYC

Znów krew w misce. Kiedy minął miesiąc?
Rozpięta bielizna kołysze się, koi mnie
widok muru z wyjętą znów cegłą.
Biaława kość świtu, długo ją ssaly
bezdomne kundle, tłucze się w zaułku —
co stąd, a co nie stąd,
jaki świat opiewać? Zerkać
na zegarek, patrzeć na termometr,
kpić z tutejszych chmur, ruin,
brzóz i kasztanów. Rzadko
skrzydło wlatuje: wzgardliwe
wzruszenie ramion, rozgrzewa powietrze
regularne słońce; panika w oczach... jak-się-życ;
i znów krew, szybki oddech
paruje nad miastem, mgła z niedomówień,
ze wspólnych ust.

Księżyc, Kobieta, Krew,
Czas

I AŻ DO BÓLU. CIEMNOŚĆ

Poczekalnia pełna głosów
głosownia nastawia języka
wyobraźnia sprawdza bilety słów a konduktor
jest wierszem Benna pt. „Składnia”
czytany przedwczoraj Otarty o mur do krwi
stoję za chlebem drugorzędny poeta
rozstrzelany drukiem pszenney czy żytni Nie wiem
Polsko jesteś dziwna te głosy każą mi Ciebie
kochać ze wszystkich stron Wzgórza
w jaśminach zapach poranka Przeskakuję
z wiersza na wiersz tak się nie robi ja wiem
Ze swojego wiersza na wiersz kolegi i pytam
czy jestem zepsuty jak mówią do rdzenia
do szpiku zwątpienia do ostatniego słowa
które trąci w kręgosłup i runę
(o poczekalnio pełna głosów!) w szum wodospadu
w szelest węża na ścieżce A to tylko mój
syn nienarodzony wypłatuje się ze ścieżek
pościeli sunie przez poduszkę jak żuk
trącąc bosą stopą strunę napiętego
czuwania i aż do bólu ciemność jego krzyk świeca
szukająca płomienia

NAPEŁNILI PRZYDEPTALI

(z cyklu „Noworudzkie noce”)

Zatrzymana kropla
nim konieczność
zakłnie ją w mętne świedldo
bursztynu albo w wiersz
nim znajdzie się w muzeum
oprawiona w srebro
opatrzona komentarzem
wchodzę w tę kroplę

z całym dobytkiem inwentarzem
dzieci idą za mną żona
stoły krzesła tapczany
półki z książkami
niosę na rękę najmłodszego dzieciaka
jego krzykiem nabrzmiewa błona
zatrzymanej kropli
aż pęknie
a my wylejemy się na bruk
jak ropa i osocze
znowu bez mieszkania
i poczucia czasu

a on krzyczy
bo musi bo w poprzednim
pokoleniu zaliczył komorę
gazową i wkładali mu
do odbytu rozżarzone stopy
metali szlachetnych
szlachetni panowie
Schlapke Braun Wolff
kto mówi o zbrodni
chodziło o rozwój nauki
a potem siedmioletnią
wiecznie otwartą buzię
napelnili igliwem i piaskiem
przydeptali

PODOBNA TRASA

Było jak wtedy, gdy jechałem na pogrzeb wujka
Adama do Makowa i wieniec telepał się w bagażniku.
Październik rześki, wyrazisty.
Podobna trasa. Favoritka mruczała czule,
wpadając z wiatrem w głębokie doliny;
jechałem sam i czułem się potrzebnym
ogniwem w łańcuchu wieńców, ciał
i trumien suwanych do przodu.

(Chciałbym widzieć te trumny
z samego początku.
Właściwie nieraz je widzę.
Czemu, głupi, biegasz
w nocy po mieszkaniu —
pytają potem.

Tak jakoś się zrywam).

LIRYKA LOKALNA

Ścięty w polu stary sad,
czarne pieńki w ustach krajobrazu;
rumian zakwitł (jeszcze raz),
błędny ognik ciepłych listopadów.

W Wambierzycach cztery dzwony
złożone do grobu; głuche stoją

Dźwięk

w szczerym... Uderzam kamieniem,
syn poprawia z drugiej;

zapomnianym imieniem,
chylkiem, miedzą, wzgórzem
przeciska się jęk.
„Idźmy. Kogoś boli”.

WSTYD. MIASTECZKO GÓRNICZE CZEKA SWEGO KOŃCA

W dniu, w którym otrzymałem zaproszenie
do wzięcia udziału w dyskusji o przemocy, razy
sypały się gęsto w wielu szkołach świata.
Ojciec Łukasza C., zajrzawszy do
podsuwanego przeze mnie dziennika,
dopisał się do długiego szeregu
wkurwionych ojców. Chłopak smarkał krwią.
Ja cię chyba zabiję. Dość mam tego wstydu.
Dwa lata temu matka Łukasza C. musiała
wzywać pogotowie. Czuję ból w całym
ciele, podskórne dzieciństwo.
Rozbieraj się. Ale za co. Rozbieraj się,
ty już wiesz za co.

Nie wiem do dziś. A kiedy na wuefie
Rafał D. kryje się po kątach
i nie chce wyjść z szatni, wiem, że dziś znowu
przyniósł wytatuowaną na skórze mapę
niedoszłego powiatu. Jego ojciec krzyczał
na zebraniu, jesteśmy prowincją,
będziemy jeszcze większą. W prowincjach
ból mieszka strach. Ja cię chyba zabiję,
dość mam tego wstydu. A kopalnię i tak
zamknęli. „Przemoc jest tam, gdzie nie ma Sensu”.

Paweł A. nie chce się przyznać. Wreszcie
wybucha płaczem. Tak, robi to codziennie.
Matka musi klękać, a potem pełźnie
po podłodze. Ojciec każe mu patrzeć,
jest ciągle pijany. Paweł moczy się w nocy,
ma kłopoty z nauką. Szkolny pedagog triumfuje,
teoria konweniuje mu z przypadkiem. Śnieg,
śnieg na te rany. W kwietniu? Cichy,
załękniony śnieg. Pójdziemy go deptać,
chłopaki. A jutro w kosza z siódemką.
Dopierdolimy im. Jak nie tak, to inaczej.
Jacek F. wie, że ma faulować.

Marcin B. mówi coś o egzaltacji.
On jest nowy. Będzie uczył wosu.

PRZEZ SŁUPIEC PŁYNIE RZEKA DZIK

Przez Słupiec płynie rzeka Dzik
przez moje serce jeszcze dziksza
bardziej brudna Osad łśni

Przemoc, Dziecko,
Dzieciństwo, Wspomnienia

w wierszach W ustach dym
z hałdy nad miastem
Daj mi znak może kaszlnij
zrozumiem że cię tu tytko
ta jabłoń trzyma Dziadek
ją sadił w kącie podwórza

szczaw (co porasta stromą stronę
wzgórza) znika w pyskach koni
pasących się z namysłem
i tną gzy Chodzi po opłotkach
cień chmury rozdarłej jak ty
albo schizofrenik Następny człowiek umarł
pogoda się nie zmieni Weź gałąź
sosnową i połów na ranę.

KOŚCIÓŁ W DROGOSŁAWIU

widziany przed odlotem
Rozalii Linke, Marii Sztorch,
skłóconych sąsiadek,
które pogodził cios
niewidzialnej włóczni —
anioł się uwijał za dwóch,
las pod oknem niemiał i głuchł;

widziały czerwony, stromy dach,
z bliznami okien uniesionych jak brwi,
odlatywała od korpusu jak głowa
sygnaturka drżąca, nerwowa;
coś było z powietrzem nie tak,
dawany i powstrzymywany znak,
nie czuły w sobie plusku krwi,
nigdy nie były na takiej mszy.

Co chcesz powiedzieć,
wykrztuś teraz —
z księgi doliny robi się książeczka
szybko wkładana do kieszeni płaszcza;
i ten inicjał, pokrętna litera
z czerwonych cegieł. Kościół w Drogosławiu
widziany z wysoka.

PAŹDZIERNIK

Cóż, bez tej lipy niebo
byłoby bezradne jak syrena na skraju
złomowiska, na rozbieranym wiadukcie
śpiew lokomotywy.

Księżyc w serii znaczków na niebie —
ząbkowane Haiti,
rozwarty seks malwy; i głos:
„nie jesteś poetą krajobrazu, wypierdalaj”.

I coś się ze strumieniem oddala, oddala
sens i przybywa z daleka:
stanąłem u ujścia, rzeka
skojarzeń ma cofnięte źródła.

Rzeka

Wypłynąć jeszcze tej nocy
z tornistrem pełnym książek,
na zbutwiałej tratwie wić mały ból
języka, który chciałby lizać

szron na różach, pokrywach śmietnika.

CIEPŁY GRUDZIEŃ

Ani i Jurkowi

*„jastrząb kwilił, co rozuścierało psy.
krzesło w rzece. kry”.*

Tu szedłem, a tam dosłownie
leżałem pod brukiem, pod pianą liści
bitą na asfalcie: oddech ziemi
strofował mnie, naprowadzał —
zaczynały się schody, korytarze.

Tak się leży, tak układa,
wyrównuje oddechy ze wszystkich stron —
w sobie. Tak się widzi kroki
od spodu, przeczuwa podeszwy; podejrzany
wiatr. W zajezdni dużo flag.

Trochę szedłem, ale coraz bardziej
obraz zachodził w głąb. Zachodziłem,
zaszedłem, stoję nad otwartą
myślą: w notatniku zaciskał się
rząd, gwar brył. I sny.

Kręto, przestrzennie, lustrzanie.

Jak igła do zszywania owiec
łśni w szronie wieża kościoła w Głuszycy

i są jagnięta na wzgórzach
zziębnięte, zdziwione.

Więc to ty jesteś, świecie.
o którym tyle szeptano we krwi.

I trzeba skubać to szare, szkliste.
Białe strumykami w dół, będzie pluskać.

Czarne, okopcone sunie
po wiadukcie. Koń przejechał.

Skąd wiem, że koń? Każdy widzi
dwukólkę, bat, parujący asfalt.

ZIMNY STYCZEŃ

Kasi i Jarkowi

I otrząsną perlistym śmiechem
szadz z opłotków; ja nie wiem,
kto te dzieci robił,
i w jakiej pokorze. Są

na wzgórkach: między parowy
wpada krzyk nerwowy,
roztrzęsiona sanna. Z drogi, z drogi.
Zbocza lśnią jak śledzie.

Chcą połamać nogi
przechodnia, co zatrzymał chwilę:
hałdę, rzekę; w pomarszczony obłok
ciężko kasztan wchodzi, rozsypując obrok.

Wozy wypełnione węglem
suną w głąb doliny.
Pęka serce mrozu
nad kamieniołomem: zgrzyt stalowej liny.

KWAŚNY LUTY

Oldze i Romkowi

Gdy nie dają szans rozbudzone dzieci;
albo to jest najważniejsza szansa.
Zapał, wcześniej zapal;
palę arkuszami zeszłorocznych ocen.
Jeszcze wcześniej uderzenia, trzask —
pojemniki na śmieci opróżniane w śnieg.

Kto żyw w nieznannej ciemności
przeszukuje teren Martwej
i przyległych; natkną się na psa czy nie...
Popiół, wszędzie popiół,
rudoszary ślad po wcześniejszych,
teraz dumnych ze swego pióropusza.

Nad dachami wpada w poślizg wiatr
jak cuchnący oddech chorego olbrzymia;
otrzepuję się z sierści, ciemność trwa —
a właściwie trawi resztki. Potem blask.

Bóbr wzbiera. Mijam go po drodze.
I on mnie mija.

Rzeka

Ileż podmytych kurników,
upadłych płotów z wikliny!

Bieda, Rodzina, Współpraca

I nie masz nikogo, który by opisał
brudne dzieci wpychające fotel

w żuka i konia bez głowy.
Rodzina się przenosi bliżej biedaszybów.

Zima nie ma końca.

PIOSENKA Z KOŃCA LUTEGO

Czytanka świata otworzyła się tu
na obrazkach z zimy
i pan nauczyciel zza chmur, zza brzoź
wyjaśnia wszystkim, co my tu robimy.

Zima

Widzicie, dzieci, poranek lutowy
w pewnej części Sudetów Środkowych,
na krańcach horyzontu gorzki róż
przechodzi w śliwkowy, i staje się już

coś nietutejszego: wrastają w szadź
łyżki Matki Boskiej lub kogoś takiego;
pejs starozakonnego, kiel ziemniaka
gdzieś w kącie kuchni nieba —

tyle o księżycu. Z prawej krzyże cmentarza
i główkę krokus wynieść się odważa
na światło, mróz, lodowe pęknięcia.

Dzięki, światło, za światłość —
to głoska różnicy,
ale nam pozwala wychynąć z piwnicy.

Wspiął się i patrzy w bystrza Woliborki
pies wyrzucony wcześniej z samochodu —
czy widzi twarze, co przestały kochać,
może przyszłość świata, podkulony ogon —

Pies, Bezdomność, Rzeka

samotny na wietrze, zjeżony,
przekrwiony jak oko,
którym widzi nurt —

bo jego rzeczy zostały pod wodą,
miał tam dokumenty,
smyczkę i kaganiec;
rzeka robi zdjęcia i podaje dalej —

wścieka się na pianę,
gryzie łańcuch brzegu.

*

To jest wiosna,
gdyby ktoś nie wiedział;
coraz więcej psów
wpatrzonych w ciemną wodę.

ODA

Mariuszowi Grzebalskiemu

Psy wskakiwały na mur, liżąc
twoje ślady; liście podrygiwały w tańcu;
rzeczka w Sudetach jak Potomak w marcu;
stygające stygmatyczne znaki
na pełzających zboczach —
smutne ogniska, przy których ludzie
z opuszczonymi głowami
na krawędzi obłoków. Wiatr wiał,
ale słyhać było niechęć
i zrzęczenie losu;
stało, co się miało ruszać,
co się kiedyś ruszało
w dzieciństwie, śniło

Wiatr, Los, Przemijanie,
Dzieciństwo

Psy wskakiwały na mur, liżąc
twoje ślady

JAK U NAS W POŁUDNIE

Zygmuntowi Krukowskiemu

Pukają do drzwi
krzyczą przez kruche literki
otwórz się odłóż
to co chciałeś wypowiedzieć na marne
nie wracaj do tych samych słów

odnawiaj się chłopcze
ta ścieżka zachęca
wysoka trawa czyha
hałda cmentarz zasypuje cicho

świadkowie Jehowy
nadchodzą z Miedzianki

sztuczne kwiaty w majolice
a Jezus jak Nike
bez oka
bez jednego skrzydła

bo prawda z braku się bierze
prawda bezskrzydła
ślepa

pukają do drzwi
szarpia za sznur
który nie dorósł do pętli

pokazują flachę pęto kielbasy
chcą ode mnie więcej

LIST CZYTELNIKA Z WAŁBRZYSKIEGO

„Na tyle listów chciałem odpowiedzieć
grzecznie. Trzydzieści siedem lat byłem
miły. Szkoda, że to się skończyło.
Trudno to nazwać transgresją.

Grzeczność

Kupa gnoju, którą chciałem toczyć
w jakiejś formie, np. kuli,
okazała się za wielka.

Po prostu”.

BEZ ŚWIATŁA

Są odpływy światła, psują się baterie,
siada akumulator w starym szewrolecie,
gasną jarzeniówki, zawijas neonu
wylamuje szereg —

i znów chwila zamknięcia dopływu,
łapiemy powietrze, przeskakuje iskra
ze stryja na tego niżej na zdjęciu
w parafii. Nie martw się, siostrzo,

poznacie go po bielmie
łamiącym się na widok, na blask.
Przymrużcie już oczy, o tak.

Wiertarki w ogrodzie, silniki w piwnicy
ściągają od nas z góry najwięcej energii.
Parujemy niewytarci, chyba utrwaleni.

PROSTA HISTORIA

Do tylu kościołów wchodziłem
daremnie, gipsowe figurki śmiały się ze mnie...
Pozostawione dzieci płakały.
resztki Boga trzeba było wyskrobywać
z ich zabłoconych kurtek,
ojciec buszował w knajpach, nawiedzał dziwki,
świat oddalał się jak chybotliwy wagonik
bez konduktora, bez maszynisty;

Bóg, Dziecko, Wiara, Czyn

potem takie same dzieci spotykałem
w szkołach, uczyłem je poprawnej pisowni
własnych nazwisk, wpatrywały się we mnie
jak w maszynistę, wybierałem z nich
najlepsze do składu na mecz
z sąsiednią biedą i kiedy obrzucały się błotem
na boisku pod hałdą, miałem łzy w oczach.

Wiem, miało być o Bogu.

III. ZDANIA NA WYPADEK

NIE INACZEJ

1

Złuszczy się krajobraz razem z nami,
niewiele ubędzie ciemnemu powietrzu,
ale chyba jakieś arche pozostanie.

Kondycja ludzka,
Przemijanie

2

Czas buduje rzeczy swe niedostrzegalnie;
te ruiny są budowlą w toku,
skrzącą się od znaczeń, westchnień
zmarłych wczoraj mieszkańców Hellady.

3

Palce Losu zdrapią nas jak naklejkę,
nie uszkadzając właściwego rdzenia,
bo pozostanie chyba jakieś arche,

4

Tak jak z liścia na wietrze
pozostaje szkielet sieć żył —
widoma konstrukcja, co się przyoblecze
w zieleń... cicho, znów niedostrzegalnie;

5

Czy ślepi krążymy w zaułkach planety?
Bracie, nie inaczej.

dla Alka Radomskiego

W pudełkach, w których mieszkam,
jest dużo zielska.
Skrzypią podłogi w pudełkach,
w których mieszkam.

Pudełko podwórka; i ktoś tam nosi
ciasne półbuty po mnie;
pudełko tarasu, jestem ubogi,
uboższy o dach nad głową.

Pudełko ulicy otwierane czule,
zamykane z drżeniem —
dziecięca twarz słońca zagłada
do królika w sianie, podsuwa mu liść.

W pudełku, w którym śpię,
są rośliny; najczęściej paprocie,
skrzypy odcisnięte w węglu,
jest pleśń od północnej strony

i mrowisko, co ogryza na kość.
A tamto pudełko to starość,

Starość

z pergaminu zsuwa się sznur
...rozwiń, rozwiń se

ostrożnie przymierzając
zmarszczki, brodę, żalosc.
W pudełku żyda na dnie
to ci pozostało.

WODA Z PÓL

Darkowi Sośnickiemu

Podpełza zwątpienie, o pół tonu światła
mniej pod latarnią wiersza; oszczędność energii,
kuśtykanie frazy, o jedenastej cichnie szum
maszyn, milkną drzewa, pękają dreny —
woda z pół, z miedz. Surowy napój,
który trzeba
przebyć; gruda gliny w usta

REQUIEM

Tu wszystkie gałęzie należą do zmarłych,
machają nimi wytrwale na wietrze;
czy wciąż w albumach tkwią ich młode oczy,
nie wiem; pozostawili mundury,
suknie ślubne, komunijne ubranka;
nadzy wślizgują się między gałęzie;
czy tam jest jakiś popas
lub piknik u Boga, nie wiem;

Śmierć, Wiara, Kondycja
ludzka, Przemijanie, Natura

nie mogę zawierzyć mitologiom,
niezupełnie wierzę tylko w rozkład;
wrócić na ziemię wiosną, bić deszczem,
być jasnym pędem, gorzkim mleczem w żwirze.

WIELKI POST

Wśliznął się w trumnę pejzażu ten szelest,
malarstwo flamandzkie czy co do cholery.

Kot

Kot płacze na schodach wtulony
w poduszkę marcowej śnieżycy, opery

na trzy, i już cztery: inflacja pór,
miesiący, całego poczucia. Człowiek

budzi się w człowieku (pst, kurwa, kocie)
z ręką w kanale, na pilocie

ciągłego czuwania: lepkie ślady, Vermeery,
szumy, telepatia, higiena usteczek

nienawykłych do posług, do szukania związku.
Powrót do źródeł, najęty jak kłamie —

poparzony, pojebany, w futro
wsunięty jak w trumnę.

WIELKANOC

*„A nie ma jednej kawki w powietrzu,
która by nie spała przez jedną noc życia
w spokojnym gnieździe.
Lecz o mnie Bóg zapomniał”.*

J. Słowacki

To było w marcu we wtorek;
zamarzło pod nogami grząskie oparcie
dla paru przebiśniegów.
Z pudła schodów wychodziły dźwięki,

rury jak żywe wily się pod tynkiem.
Pokrywała się grubą warstwą śniegu
trawa zieleniejsza od wszystkiego.
W górach tłoczyło się nowe powietrze,

by nazajutrz zasypać światłem podwórze.
Trzaskały bramy, przelewała się rzeka,
nic nie mogłem zmienić zapisany w księgach.
„Chrystus chuj” wołali wysłannicy piekła.

ZAKWITNIE KIJ W TWEJ RĘCE

Zakwitnie kij w twej ręce tak będzie
oddychaj pełną piersią oddychaj
więcej wspomnień zabierzesz ze sobą
świeże pachnące kretowiska
wyrzucą z siebie krokusa łodyżkę
śnieżyczki wychyną zza kamieni
szlifowanych niegdyś przez potok
już w płuca nabierz trochę ziemi
i niech cię nie zaskoczą
sroki goniące się po niebie
obłoki skrzypiące na wietrze
(jak blaszane wota w kapliczce
bielonej ptasim łajnem)
zakwitnie wszystko bez ciebie
najwyższy wypuści cię z ręki
i powie leć a nie obnoś się
ze złamanym skrzydłem.

że ptaki,
że przelatują z nagich gałęzi jaśminu
na szczyt domu, w którym pędzimy
(przewracając się z jednego przebitego boku
na drugi) żywot,

że bywają spłoszone,
że niekiedy śpiewają (komu? czemu?) —

Natura, Kondycja ludzka

nie jest powiedziane, że śpiewają
nam, czekającym na nadejście
(kogo? czego?) dopełniacza losu,

może śpiewają tym, którzy nie doczekali,
może Panu Bogu w okno, w jego białe firany
podwiązane różowym kordonkiem świtu;

że kogut,
że pieje zaciekle w komórce sąsiada,
pies szczeka, pękają pąki mimo naszej woli

i że to wszystko mówi coś i znaczy,
bo jest zaznaczone
w księdze naszych domysłów,

w Naturze.

TREN

Antoniemu Mackiewiczowi

Przebiera palcami ciemność
i pociera o pierścionek pełni
zastawiony w lombardzie uschłych olch;
miasteczka pełnią wartę tylko dla mnie,
polyka je horyzont, chłodzi wiatr.

Kobieta drzemie, a spod jej nóg
ucieka ziemia. Agresywny pot,
ale nawet mi nie staje;
robi się starzec ze mnie, powoli
smakuję ten chleb, niosę trumnę,

Kobieta, Mężczyzna,
Pożądanie, Śmierć

ocieram się o sąsiedni grób.
a potem przebieram palcami,
sypiąc na twoją twarz
kamyczki, muszelki, grudki. Ciemność
dnia.

OSTATNI WIERSZ DLA MATKI

*światło rdzy
kryjesz ty*

Rdza traw, ta rozpacz,
pod bukami przepaść;

Cmentarz, Matka, Dziecko,
Dorosłość, Śmierć, Strach

*przepaść rozpatrz
z góry, przykłaśnij do echa.*

Tam przerzuca miasto
zmarłych, stąd światło

na wzgórzach; rozrasta się
cmentarz, rozpycha

jak nowotwór; grząskie pola
równa spychacz,

potwór w snach dziecka;
mamo, pamiętasz

mnie z tamtych przerażeń;
iść na swój grób trzeba odważnie

ZDANIA NA WYPADEK ŚMIERCI

E. i J. Soltyszcza

Być ojcem i spokojnie rozmawiać z synem.
Doprowadzić córki do miejsca, skąd same ogarną
pozostałość życia.

Dorosłość, Śmierć

Być synem i spokojnie rozmawiać z ojcem przez ścianę
z trawy, gliny, przez korzenie, kłącza.

Nie spodziewać się czegoś nadzwyczajnego,
bo wszystko jest nadzwyczajne.

Groby, grzbiety fal, grzywy koni,
kościany grzebień u twojej skroni.
Sukienka matki, i twoja. Szmer
spodni w szafie, jęk szuflad.

Błądzący oddech trafi na poetę lub szewca
jak Boehme; pozostawi oddźwięk.

Już trzeba wierzyć w coś niezniszczalnego.

GŁUCHY CZERWIEC

Iwone i Antkowi

„...żeby rzucać carmina w przestrzeń
sakralnych jaskiń...”

Cz. Miłosz

Kaplice jak ptactwo,
co obsiada miedze
i wydaje głuchy krzyk
słyszany przez nielicznych;

przez nielicznych tak bardzo.
Urodziłem się w okolicy pozbawionej
katedr — luster wyższej wiary,
pośród wzgórz kręcących się w kółko

nasiąkałem pustką, niedzielą
bez znaczeń. I teraz nie słyszę,
co w powietrzu drży
i dlaczego; za moją głuchotę pomódl się

czytelny, jasny i wytrwały.

ZAPOWIEDŹ

To są przecież groby, mamrocze
dziecko; *nie mów tak o górach*;
niesiemy drabinę ku wyniosłej
gruszy, jabłko w woskowie
chroni się przed mrozem;

to jest przecież cmentarz, spójrz,
tato, w obłoki, szkielet
goni szkielet i jeździec
bez głowy; *góry (przez graby)*
zdrobniałe, zgrabiałe;

parowozy zatraciły się
w polach po osie, po rdzę.
Za tobą głos ze stacji
krzyżowej, ksiądz ma
mikrofon; to jest przecież miasto

dochodzące z dołu.

POTRAWY POŚMIERTNE;

ten olśniewający stół,
którego będziecie się trzymać
jak burty okrętu zapadającego się
w tłustej zupie oceanu,

a ja wam będę machał jak szalony
z bezludnej wyspy, która zaludni się szybko
i któryś powie „Co się wściekasz”,
i będzie się zacinał, jękał;

dopiero potem powiedzą mi,
że to Bóg. Ale nie dojdzie do mnie nic,
żadna wielkość, prawda czy poczucie,
pustka rozdęta w piersiach, lśniaca
na krawędziach, to wszystko

(koniec do przełknięcia jak olów,
rtęć do wypicia)

Grób, Góry, Śmierć

Śmierć, Zaświaty, Okręt

IV. POD TWOJĄ OBRONĘ

Rożen, z którego uciekłeś,
niebieski ptaku,
rożen słońca przebijający mgłę,
i dumny napis „źródło Kaczawy”,

wszystko to jest,
bo dożyłem kolejnej odsłony, no cud
(miało być „cóż”, brnę w egzaltację),

ta sama trawa, ten sam zgrzyt kości
mufflonów na ścieżce,
która zmieniła bieg z potokiem;

co jeszcze słońko widziało?
martwe pola, z których wstawał śnieg
i szedł na leże do Ojca (za rok wyciąg-

niemy go z pudełek na bombki),
w wywijające się piąstki, pozlepiane palce
roślin chwycił się mroźny dzień;

było to w tych dniach, niebieski ptaku,
kiedy gorszy rodzaj ludzi nie przeżywał
nadejścia wiosny, śmierci papieża,
nie mógł znaleźć kanału.

RONDO

Nie miał żadnej gałęzi a śpiewał

Czułem pustkę za całe tysiąclecia
za tych co przede mną i po mnie
o takich ustach mówią gorzkie
w pokoju hotelowym jest telewizor

wyłącz fonię poruszają się usta
przesuwają się cienie wymachują rękami
kręcą jakiś film z życia
ciebie to już nie dotyczy

ty umarłeś wcześniej za nas
nieznany ty poległy bohaterski
róża niesiona przez obsługę
dalej będzie pachnieć i dalej

spotkamy się za milion gestów i poruszeń
coś musi się z nami stać zgorzknieć
miniemy się w hotelu na schodach
i nie będzie miał gałęzi będzie śpiewał

słowik w Kutnie.

BEZ TYTUŁU

Kiedy jedziesz, pchając widmo samego siebie
w pokrzywy, łopiany
i coś szamocze się w trawie aż po rdest,
ruch szprych jak metronom, i płoszy się rytm

wróbel, jaszczurka, szczur?

Kiedy przegrywasz, spóźniasz się na start,
potem tylko krążysz w formie opowieści,
zanurzasz się w trzecią burzę tego dnia
i suchy jest tylko liść nerwów, i spada na czoło

wróbel, jaszczurka, szczur?

(Kiedy wreszcie przyjdą spieniężyć dom,
w którym czekasz na „lepszą” przyszłość,
podejź do okna, rozłóż ramiona,
wgarnij w siebie świat, jaki jest,

wróbel, jaszczurka, szczur?)

WIERSZ DLA ZMOTORYZOWANYCH

Tiry smutne jak konie,
z opuszczonymi głowami
na poboczach szos,

dolewają im coś, donoszą
akumulator w brudnej folii
(jak obrok),

tu urywa opowieść, swoje patataj
przenosi do następnej zwrotki,
zwraca się w stronę publiczności
zatartej na obrazku, ukrytej,

też ma mokre podwozie
i czeka cierpliwie na ssanie,

został mu tytko jeden cylinder,
trzyma się go jak tonący,
kuśtyka do warsztatu boso;
tam się wszyscy spotkamy przy ogniu,
Hefajstos francuzem wskaże napis, porządek,

POD TWOJĄ OBRONĘ

Cezaremu Domarusowi

Broń się przed uderzeniem głową.
Zadbaj o formę odparowania.
To, co z ciebie zostanie,
pokażą w telewizji.

Reszta zostanie w domu, na prowincji,
unosząc kieliszek coraz wyżej —

„niech mu ziemia lekką będzie” powie
i wzniesie toast za tych, co pod ziemią
na sargassowym morzu, w zawieszonym trupie —
występują gorliwie w postpunkowej trupie.

Broń się przed uderzeniem głową,
uderzaj wątpliwie, muskaj
nerwem, mięśniem i powieką,
chodzi o wrażenia; co wymyśli głowa,
niech się w cień, smugę cienia schowa.

Pokazywali pana w telewizji, dziecko
powie: miał pan przyszyte szelki
i wyglądał ładnie. Te różne kawałki
krążą, składając poetę

z oddzielności, z tego, co nie ustaje —
szuka się cierpliwie.
Tu przewrotna lista: usterki
tworzą mapę rzek niewielkich,
ospałość w poziomicach
(rzuca się w oczy tatuowana kostnica) —

na wzgórzach świeci próchno
z triangulacyjnych wież.

Broń się przed uderzeniem głową,
zadbać o formę można też:
elegancko nadstaw kolano.
Odpryski kości chcą zostać, zostaną;
włącz telewizor, sprawdź, jak się utrwała
demokratycznie wyłoniona fala.

JACEK GUTOROW — *Karol Maliszewski: Być pędem wiersza*

Istnieje kilku Maliszewskich. Najpierw spieszny przechodzień pchany nieokreśloną tęsknotą za nowymi, fantastycznymi miejscami: *Jadę (blady jak papier/ na którym notują się mijane/ wieś, miasteczka: wszystko)*. Potem niespokojny duch, który rozpaczliwie poszukuje sankcji własnego istnienia i chce zatracić się w wierszu — jakże często wierszu dramatycznym, *rozczochranym*, szukającym ujścia w krzyku. Wreszcie uważny obserwator rzeczywistości, który potrafi oddać scenę za pomocą krótkiej, wyrazistej metafory — jak w wierszu *Góry, gorączka*, gdzie zwraca uwagę celny obraz sudeckiego Pradziada porośniętego *ciupagami modrzewi*. Jest też poeta odnajdujący siebie pośród innych poetów (tych z podręcznika literatury, ale i tych spotkanych *w drodze*), którzy nierzadko stanowią inspirację do kolejnych wierszy i pojawiają się w nich na specjalnych prawach. O rolach tych krytycy zdążyli już to i owo napisać — z ich tekstów wyłania się obraz poezji otwartej, różnorodnej i wieloznacznej.

Jednak mnie interesuje jeszcze jedna twarz noworudzkiego poety. W jego dorobku odnajduję teksty, których urok jest początkowo niezrozumiały i polega na osobliwym zawieszeniu głosu, kiedy Maliszewski zdaje się nie wiedzieć, kim jest, i pozwala słowom przebiegać przez scenę wiersza. Być może chodzi tu o spiętrzenie doznań i doświadczeń tak wielkie, że wyważa język z zawiasów i pozwala słowom składać się na nowo, w odmiennych, nieprzewidywanych porządkach? A może chodzi o świadomą próbę wiersza nieoswojonego, czyniącego z poety kogoś obcego sobie samemu? Bo w wielu wierszach

Maliszewski radykalizuje poetykę oderwanego spojrzenia tak dalece, że wśród nagromadzonych obrazów znika ślad jakiegokolwiek tożsamości:

byłem już coraz
bliżej, patrzyłem na obraz
rozedrgany pędem
jak stawał się doskonale,
nie wiadomo jak

uspokojony i pogodzony
z najwyższym słońcem
w chmurach, z obłym stokiem
w lustrze burego jeziora,
z jakimkolwiek
sobą

(*Góry, gorączka*)

Takie cytaty można mnożyć. W wierszu *Wygasić silnik, zatrzymać pęd* (z ostatniego jak dotąd tomu poety *Inwazja i inne wiersze*): *gdzieś urywają się telefony, blokują łącza...// słyszę szum, jestem w środku*. Nagle „zablokowane łącza” pozwalają Maliszewskiemu mówić wierszem zradykalizowanym, skondensowanym tak bardzo, że pękają w nim szwy grammatyczne i frazeologiczne. Skądinąd nie dziwią mnie odwołania do Celana (jeden z tekstów nosi nawet tytuł *Jestem w wierszu Celana*) — w swoich najlepszych momentach Maliszewski osiąga podobne efekty: nagły skrót językowej perspektywy, nieoczekiwane współbrzmienia przypadkowych dźwięków i słów. Dzieje się tak zwłaszcza w wierszach z ostatnich tomów, będących zapisem nader interesującej ewolucji poetyckiej — autor *Inwazji* zmierza ku mowie fragmentarycznej, rozproszonej, pozostającej jednak mową ukierunkowaną na czytelnika i unieruchamiającą, choćby w rozproszeniu, jałowy dryf spostrzeżeń i doświadczeń.

Przy okazji: nie przekonuje mnie fraza o „poezji prowincjonalnej”. Skądże znowu. Jest raczej tak, że Maliszewski problematyzuje opozycję centrum i peryferii — sam akt poetycki staje się aktem założycielskim, dzięki któremu rozróżnienie na punkt centralny i jego peryferie nabiera cech fikcyjnych. Przypomina to trochę Derridiańskie „pisanie na dwie ręce”: jedna ręka pisze poezję prowincji, druga odsłania retorykę ukrytą w myśleniu o prowincji jako „prowincji” i centrum jako „centrum”. W rezultacie wiersze rozsadzają kulturalną i medialną topografię miejsc, do których się odnoszą, a jednocześnie proponują poezję „jedynego miejsca” — miejsca „tutaj i teraz”, a zarazem „dokądkolwiek i kiedykolwiek”, miejsca ujawniającego swoją centralność i peryferyjność.

Być może strategia ta nie ma charakteru świadomego; ale też związki poety z konkretnymi przestrzeniami i miejscowościami (na przykład Nową Rudą, Górą Sowimi, Sudetami, Dolnym Śląskiem) są w dużym stopniu podświadome, instynktowne. Maliszewski zawiera instynktom, zwłaszcza tym związanym z wiązaniem słów i układaniem fraz, i zdaje się na ich przewodnictwo. Konkretnie wiersze świadczą o tym, że tego rodzaju ufność popłaca — dotyczy to nie tylko stosunku poety do własnych tekstów, ale również do potencjalnych czytelników.

Josif Brodski zwykł powoływać się na słowa japońskiego pisarza Akutagawy Ryunosuke: *Ja nie mam żadnych zasad, tylko nerwy*. Sentencja ta dobrze, moim zdaniem, oddaje charakter pisarstwa Karola Maliszewskiego (myślę tu również o jego tekstach krytycznych). Nie sposób chyba mówić o jakimkolwiek projekcie poetyckim czy estetycznym. Być może wierszom tym najbliższe do ideału o'haryzmu: „robię to, robię tamto”. Ale czy istotnie można tu mówić o jakimś poetyckim ideale? Czy poeta — obserwator nie jest zdany na łaskę przypadku i okoliczności? Niewątpliwie da się też zauważyć u Maliszewskiego tęsknoty i gesty charakterystyczne dla poetów konfesyjnych — chodzi mi tu przede wszystkim o przekonanie o terapeutycznym i pedagogicznym wymiarze poezji. Nie wszystkim musi się to oczywiście podobać, ale to ważny moment. Sporo w tych

tekstach elementów nawiązujących do tradycji ekspresjonizmu; czasami autor *Inwazji* traktuje ją nazbyt dosłownie, jednak nigdy nie przekracza granicy dobrego smaku — sędzę, że pomaga mu w tym poetycki zmysł słowa i charakteryzujące każdego dobrego poetę poczucie obowiązku wobec języka.

Czy dokonuje się tu spław poetycki? Niewątpliwie. Słowa gonią słowa, frazy potykają się o siebie i na ułamek sekundy jaśniej niespodziewanym blaskiem, a wiersze wymykają się z rąk. Nie oczekujmy luny nad zatoką. To są naprawdę „zдания na wypadek”: zdania wypadające z obiegu, posiadające własną trajektorię. Zdania na krótkim oddechu — ale mierzone miarą konkretnej, niepowtarzalnej egzystencji. Domyślam się zresztą, że sam Maliszewski — jak wiadomo, znakomity czytelnik wierszy innych poetów i ich niestrudzony komentator — chętnie pozbyłby się krytycznego balastu, który, czy tego chcemy czy nie, obciąża każdą lekturę i sprowadza ją do banalnego ćwiczenia interpretacyjnego. Pozostaje obstawać przy samych wierszach, ich melodii i rytmie, niekończących się targach z materią opornego słowa. Bo oprócz spławu jest też opór. Z wiersza *Inwazja: Poeta się pierdoli, rwie, stwarza/ problemy językowe, podmienia/ znaczenia, podmywa dawno wykrystalizowane/ pojęcia, przedstawia minerały akcentów...* Miłej lektury.

Opole, grudzień 2006

Ten utwór jest udostępniony na licencji Licencja Wolnej Sztuki 1.3.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/maliszewski-zdania-na-wypadek/>

Tekst opracowany na podstawie: Karol Maliszewski, *Zdania na wypadek. Wiersze wybrane*, red. Radosław Wiśniewski, Klub Integracji Twórczych Stowarzyszenie Żywych Poetów, Brzeg 2007.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>).

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Aleksandra Sekuła.

Okładka na podstawie: Rafał Próchniak@Flickr, CC BY-SA 2.0

ISBN 978-83-288-5880-0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.